

Niewinne imprezy

Autor: Marta



W pewnym momencie mojego życia świat duchowy przestał mieć dla mnie znaczenie i żyłam po swojemu. Już w gimnazjum zaczęły się "niewinne imprezy". Efekt był taki, że, mając 15 lat, już doskonale byłam zaznajomiona z wszelkimi rodzajami napojów alkoholowych oraz z produktami tytoniowymi. W pierwszej klasie liceum nadarzyła się okazja, aby pójść krok dalej. Na jednej z imprez znajomy miał ze sobą marihuanę. Oczywiście, po wielu namowach, naiwnie uwierzyłam, że „to nic złego”. W tym momencie szatan niezwykle oślepiał i ogłuszał mnie na dobro. Mimo że ani alkohol, ani papierosy, ani marihuana mi nie odpowiadały, brnęłam w to, ponieważ nie znałam innego życia.

Robiłam dokładnie to, co robili moi znajomi, nie wiedząc do końca, dlaczego tak postępowałam. Po pewnym czasie, gdy zdążyłam się już uzależnić od papierosów oraz marihuany (wbrew temu, co się mówi - można się uzależnić od tego narkotyku), postanowiłam spróbować czegoś nowego – kokainy. Minęło już parę lat i do tej pory nie jestem w stanie zrozumieć, jak do tego doszło. Zapewne wynika to z faktu, iż byłam już po spożyciu znacznej ilości alkoholu i marihuany. Krótką chwilę po zażyciu tego twardego narkotyku, poczułam się odcięta od świata. Ogarniały mnie ciemność, pustka i strach. Moje serce biło niezwykle szybko, zdecydowanie za szybko. Byłam przerażona, a w głowie miałam pewność śmierci. Widziałam, jak przyjeżdża po mnie karetka, odwozi do szpitala oraz jak cała rodzina rozpacza nad moim szpitalnym łóżkiem, podczas gdy lekarz z bezradną miną mówi: "Przedawkowała."

Nie potrafiłam wyrwać się z tego koszmaru. Ciągłe prześladowała mnie myśl o śmierci. Miałam wtedy ogromne pragnienie wołania do Boga o pomoc, ale w tym momencie uwierzyłam w najokrutniejsze kłamstwo: "I tak już nic mi nie pomoże. Zabrnęłam za daleko". Być może to była jedna z tych niewysłowionych modlitw, ale po paru godzinach ocknęłam się, obciążona ogromnymi wyrzutami sumienia. Trzymałam to w sobie do czasu, aż poznałam pewnego chłopaka. Poznaliśmy się na letnim obozie chrześcijańskim dla młodzieży, organizowanym przez kościół protestancki. Na tym tygodniowym wyjeździe podziwiałam, jak ludzie potrafią być szczęśliwi. W końcu zdecydowałam się również być prawdziwie szczęśliwa i oddałam swoje życie Bogu. Czułam, że wszystko zostało mi wybaczone i zostałam odciążona w niesamowity sposób z wyrzutów sumienia i żalu do siebie.

Nie miałam specjalnie wsparcia duchowego w domu, więc trzymałam się poznanego chłopaka. Bardzo mi imponował swoją wiedzą teologiczną oraz tym, że w przeszłości borykał się z podobnymi problemami i z nich wyszedł. Nasza znajomość przerodziła się w związek.

Dopiero teraz wychodziłam z uzależnień, odcinałam się od starych znajomych i rozpoczynałam swoją przygodę z Bogiem. Jednak w tym momencie popełniłam ogromny błąd. Swoją relację z Bogiem zaczynałam równocześnie z relacją z mężczyzną. Jest to niezwykle niebezpieczne, ponieważ moja wiara miała zbyt słaby fundament, aby zacząć chrześcijański, zdrowy związek. Zaczęłam chodzić do kościoła protestanckiego, jednak zazwyczaj chodziłam tam, ponieważ mój

chłopak tam był. Moi rodzice absolutnie nie zgadzali się na nasz związek, a już tym bardziej nie podobał im się kościół. Byli zamknięci na wszelkie propozycje poznania mojego chłopaka i kościoła. Ten czas był dla mnie niezwykle trudny, ponieważ doświadczyłam pewnego rodzaju prześladowania we własnym domu. Efekt był taki, że musiałam chować moją Biblię pod poduszkę i czytać ją w ukryciu. Dostałam zakaz rozmów o Bogu z moim chłopakiem oraz zakaz chodzenia do kościoła i na spotkania młodzieżowe. A to, co było najbardziej bolesne, to że moi rodzice wysłali mnie do psychologa na wielogodzinną sesję, po której czułam się jak bezwartościowy, naiwny dzieciak. Spór z rodzicami był bardzo zacięty, ale nie poddawałam się. Wciąż szukałam Boga i wiedziałam, że ich zarzuty są bezpodstawne. Z pokorą starałam się znosić wszystko, niestety momentami bardziej dla chłopaka niż dla Boga. Im bardziej moje relacje z rodzicami się psuły, tym bardziej szukałam bliskości z chłopakiem.

Od zawsze trzymałam się z dala od wszelkiej fizyczności damsko-męskiej i już na początku związku ustaliliśmy, że z seksem poczekamy do ślubu. W końcu chcieliśmy budować chrześcijański związek. Długo walczyliśmy z pokusami i kłamstwami (np, "skoro i tak zamierzamy wziąć w przyszłości ślub, to co za różnica, przespać się teraz, czy za parę lat?"). Niestety, ulegliśmy. Na początku byliśmy zadowoleni z naszej decyzji, ponieważ to oczywiste, że zbliżyło nas to jeszcze bardziej. Tylko problem w tym, że nasze zbliżenie odłączyło nas od Boga. I to naprawdę bardzo szybko. Byliśmy sobie coraz to bliżsi i nie potrafiliśmy tego powstrzymać. Wciąż utrzymywaliśmy pozory chrześcijaństwa – codzienne czytanie Pisma, modlitwa, muzyka chrześcijańska (tylko!) itp. Ale nasze serca gniły. Szatan wtargnął i zaczął siać w nas nienawiść, brak zrozumienia, zagłuszał głos Boga. Mój chłopak uległ i, w ukryciu przede mną, wrócił do starego życia. W efekcie, został okradziony ze wszystkiego, co było dobre. Ta miłość, którą mi na początku okazywał, zmieniła się w oschłą relację, w której właściwie jedyny przejaw bliskości istniał w seksie. Byłam tylko przedmiotem, służącym do zaspokajania intymnych potrzeb. Zaczęłam walczyć i odmawiać.

Chciałam wrócić do tego, co było na początku związku. Miałam niesamowite wyrzuty sumienia i w nadprzyrodzony sposób czułam, jak Duch Święty o mnie walczy. Moja relacja z rodzicami była beznadziejna, ta z moim chłopakiem przestawała istnieć, a o relacji z Bogiem mogłam tylko pomarzyć. Doszło do tego, że mój chłopak wykorzystywał mnie seksualnie, nawet gdy ja próbowałam protestować. Co więcej, potrafił podnieść na mnie rękę. Choć próbowałam walczyć o ten związek, to nie widziałam żadnego powodu, dla którego miałyby on dalej trwać. Po ponad roku, zerwałam z nim i od tamtej pory nie mamy kontaktu, co niezmiernie mnie cieszy. Wszystkie te zdarzenia wywołały u mnie obniżenie i tak już niskiej samooceny.

Byłam bardzo uzależniona od mojego chłopaka i dopiero z perspektywy czasu widzę, jak potrafiłam się poniżyć przed człowiekiem, z którego zrobiłam sobie bożka. Po zerwaniu z nim, nasiliły się nerwica natręctw oraz fobia społeczna. Panicznie bałam się mężczyzn, a o jakimkolwiek kontakcie fizycznym nie było mowy. Każdy dzień był katorgą. Nienawidziłam siebie zupełnie. Potrafiłam drapać się po rękach i nogach, ponieważ wtedy odnajdowałam chwilowe ukojenie emocjonalnego bólu. Jednak to tylko próbka tego, co przeżywałam. Mimo że cierpiałam, wiedziałam, że Bóg jest ze mną. Trzymałam się Pisma Świętego, jak tylko potrafiłam. Upadałam, ale Jezus mnie podnosił i dodawał sił. Warto dodać, że miałam zakaz chodzenia do kościoła protestanckiego i kontaktowania się z ludźmi wierzącymi Bogu. Jeśli chodzi o kościół katolicki, to nie potrafiłam się w nim

odnaleźć. Wbrew zakazom i tak ten kontakt był. Jednak z czasem, ucichł, a ja wojowałam sama w domu, mając do dyspozycji tylko, (i aż!) Biblię.

Z biegiem czasu Bóg obdarowywał mnie ludźmi, którzy byli tak niesamowitym błogosławieństwem, że naprawdę ciężko dobrać odpowiednie słowa, żeby móc to wyrazić. Od momentu zerwania z moim chłopakiem, i jednocześnie mojego nawrócenia, minął niecały rok. Z dnia na dzień poznaję i doświadczam Zbawiciela coraz bardziej. Niesamowicie mnie obdarowuje i kocha. Pomimo wielu trudności, jakie napotykam, wciąż pamiętam, z jakiego bagna mnie wyciągnął i nie boję się Mu ponownie zaufać. Dowodem na to, jaki jest niesamowity i wielki, jest to, że jestem czysta, oraz że kocham ludzi i siebie tak, jak nigdy wcześniej. Zostałam uwolniona z diabelskich sideł i wierzę, że nie ma sytuacji, z której Bóg nie mógłby nas wyciągnąć i nam wybaczyć. Boża miłość to jest pewniak, którym pragnę karmić się każdego dnia i modłę się, aby każdy tej miłości chciał doświadczać.